

IGOR T. MIECIK

W sierpniu w Teatrze Polskim we Wrocławiu miejsce dyrektora Krzysztofa Mieszkowskiego zajął Cezary Morawski. W zespole doszło do rozłamu. Jedni gwałtownie zaprotestowali przeciw nominacji Morawskiego, inni aktywnie go wsparli.

Rzecz dzieje się w budynku teatru, ale jako że teatr to zwierciadło świata, w zadziwiający sposób przypomina dramat, który poza jego murami trwa w całej Polsce.

Występują:
JAKO NOWA WŁADZA:
Cezary Morawski - dyrektor Teatru Polskiego.

JAKO SOJUSZNICY NOWEJ WŁADZY, OBROŃCY „PRAWDZIWYCH WARTOŚCI”:
Monika Bolly - aktorka, w Teatrze Polskim od 1990 r. Zagrała 29 ról. Obsadzona w „Chorym z urojenia”, pierwszym spektaklu nowego dyrektora. Absolwentka wrocławskiej PWST. Działaczka „Solidarności”.

Dominika Figurska - znana z „M jak miłość”, gdzie grała z mężem i córką. W Polskim od 2001 r., członkini „Solidarności”. W TV Republika współprowadzi program „Polska na dzień dobry weekend”. Zagrała w filmie „Smoleńsk”.
Aldona Struzik - w Polskim od 1991 r. Na koncie 23 role teatralne i ok. 30 filmowych i telewizyjnych. Ostatnio sekretarki w „Pokocie” Agnieszki Holland i wdowy po gen. Błasiku w „Smoleńsku”.

Stanisław Melski - aktor, reżyser. W Polskim od 1980 r. Odtwórca 35 ról. Skonfliktowany z byłym dyrektorem, nie był obsadzany prawie dziesięć lat. Grał i reżyserował w tym czasie poza TP. Członek „Solidarności”.

Leszek Nowak - kierownik teatralnej pracowni ślusarskiej, szef zakładowej „Solidarności”.

JAKO PRZEDSTAWICIELE „CYWILIZACJI ŚMIERCI”, PRZECIWNICY NOWEJ WŁADZY:

Anna Ilczuk - aktorka zwolniona przez Morawskiego, wykłada w PWST we Wrocławiu, w Polskim od 12 lat. Występowała m.in. w „Sprawie Dantona”, „Zaśnij teraz w ogniu”, „Wyciniec”, „Poczekalni” i „Dziadach”. Z telewizji znana m.in. jako Jolanta, żona Waldka Kiepskiego w serialu „Świat według Kiepskich”.

Marta Zięba - zwolniona aktorka, w Polskim zagrała 22 role, 16 za byłego dyrektora (m.in. „Poczekalnia”, „Tęczowa Trybuna”, „Wycinika”, „Dziady”).

Edwin Petrykat - absolwent PWST w Warszawie z roku 1965. W Polskim od 1985 r. Działacz pierwszej „Solidarności”. 50 ról filmowych i telewizyjnych.

Igor Kujawski - aktor, reżyser, lider protestującego przeciw dyrektorskiej nominacji Morawskiego związku zawodowego Inicjatywa Pracownicza. W Polskim od 33 lat. Zagrał 29 ról, w tym sześć za Mieszkowskiego.

Piotr Rudzki - kierownik literacki teatru, wykładowca kulturoznawstwa, członek komisji konkursowej, która wybrała nowego dyrektora, zwolniony przez Morawskiego dyscyplinarnie w grudniu.

Piotr Sarama - grafik, specjalista od teatralnych stron internetowych. Zwolniony wraz z całym swoim działem.

Magdalena Chlasta-Dzięciolowska - liderka protestującej przeciw Morawskiemu Publiczności Teatru Polskiego, wykłada na polonistyce.

SCENA1.: Ludzie z nerwami na wierzchu
Wraz z nowym dyrektorem w Teatrze Polskim zapanowały nieufność, niepewność i wzajemna niechęć.

Dyrektor wie, że duża część zespołu go nie akceptuje. Wcześniej się nie znali, ale to małe środowisko. Ludzie wiedzą o sobie bardzo dużo. Życiorys zawodowy Morawskiego, jego przeciwnicy kwitują szyderstwem: „dyrektor z »M jak miłość«”.

TEATR POLSKI

Skąd ten cały krzyk? Nie o zmianę dyrektora chodzi. W naszym teatrze doszło do zderzenia cywilizacji

Sądzą, że nie będzie w stanie nimi pokierować, poprowadzić do sukcesów i zapewnić artystycznego rozwoju.

Wiele zależy jednak od pierwszego wrażenia, pierwszych słów, podania ręki, uśmiechu.

Rudzki: Byłem w komisji konkursowej. To, co Morawski powypisywał w swojej aplikacji, nie mieściło się w głowie. Ogłosił, że chce pracować z Krystianem Lupa, a pan Lupa siedzi naprzeciw niego w komisji i patrzy jak na nie-normalnego. Przecież dopiero co deklarował, że jeśli Morawski wygra, to on w Teatrze Polskim reżyserować nie będzie.

Dalej wymienił Morawski festiwale, z którymi chciałby pracować, tyle że te festiwale od kilku lat nie istnieją. Zadeklarował wykorzystanie internetu do ścisłej współpracy teatru z publicznością, gdy publiczność właśnie odpalała w sieci swoje strony w proteście przeciw jego nominacji.

Teraz już wiadomo, że cały ten konkurs to był cyrk, a kandydatura Morawskiego przesadzona, ale wówczas patrzyłem na to, co się dzieje, i szczyptałem się, żeby sprawdzić, czy nie śnię.

Ilczuk: Postanowiliśmy się spotkać z dyrektorem w pierwszym dniu jego urzędowania, ale zamknął przed nami teatr i postawił przy drzwiach ochroniarzy. Kiedy pocałowaliśmy kłamkę, zakleiliśmy sobie na ulicy usta taśmą, a że byli z nami ludzie z publiczności i dziennikarze, niemy protest poszedł w świat.

Już tego pierwszego dnia dyrektor Morawski wiedział, kto jest z nim, a kto przeciw. Kiedy my staliśmy na ulicy, koledzy, którzy go popierają, witali go w gabinecie kwiatami.

Petrykat: Nie wiedziałem, jakie dyrektor ma plany - bo niby skąd? Pierwszy raz miałem okazję z nim porozmawiać po dwóch miesiącach urzędowania.

Kujawski: Kiedy wezwał mnie na rozmowę, na dzień dobry zapytał: „Proszę o sobie powiedzieć coś dobrego”. Zbaraniałem. Co ja - chłopaczek jestem? Gram tu 33 sezony. Mam równie siwą brodę jak on. Odpowiedziałem więc, że nieźle pływam na desce surfingowej i właśnie robię kurs na paratolnię. Rozmowa skończyła się, zanim się zaczęła.

Petrykat: O tym, że dyrektor zaczyna od zdjęcia z afisza siedmiu naszych sztandarowych spektakli, dowiedziałem się z prasy. W zamian zaprosił pólamatorski, faszyzujący teatr z Tarnowa ze sztuką Norwida. Efekt był taki, że na pierwszy spektakl sprzedał kilkadziesiąt biletów, a połowa widzów wyszła w trakcie przedstawienia. Na drugie nie było już chętnych.

I co? I nic! Spłynęło to po dyrektora jak woda po kaczce. W wywiadach mówił: „Bardzo dobry kierunek. Idea teatru impresaryjnego jest mi bliska”.

Nowy dyrektor urządza po Polsce żalosną łapankę na reżyserów i aktorów, zamieniając teatr z 40 spektaklami i załogą 200 pierwszorzędnych zawodowców w agencję impresaryjną? I to jest dobry kierunek?!

Sarama: Z dyrektorem Morawskim rozmawiałem dwa razy. Kiedy przyszedł się przywitać, poprosił o hasła do teatralnego fanpage’a na Facebooku i powiedział, żeby się nie bać, bo będzie dobrze, i miesiąc później, kiedy przyniósł mi wypowiedzenie. Poleciał cały trzyosobowy dział. Na nasze miejsce dyrektor przyjął młodego grafika z Torunia, syna aktora ściąg

gniętego do teatru w miejsce niepokornych. Cóż, podział łupów, władza tak ma.

Ilczuk: Początek mojej znajomości z dyrektorem? Skończyliśmy grać „Onych” Wyspiańskiego. Wyszliśmy ukłonić się publiczności. W ramach protestu z zaklejonymi ustami. Scena wysoka, pokryta śliskim sztucznym śniegiem, aktorki na 12-centymetrowych szpilkach i wtedy w całym teatrze gaśnie światło. Do ostatniej najmniejszej lampki, włącznie z oznaczeniami ewakuacyjnymi. Ciemno jak w grobie, publiczność zaczęła krzyczeć, nikt nie wiedział, co się dzieje.

Okazało się, że Morawski, by nie dopuścić do internetowej transmisji naszego protestu, kazał elektrykowi odciąć zasilanie w całym teatrze.

Gdyby nie jeden z kolegów, który znalazł świetnie topografię sali i zdołał włączyć awaryjny generator, doszłoby do paniki. Ludzie mogli się stratować w tych ciemnościach, pozabijając. Złożyliśmy doniesienie do prokuratury. Jeśli o mnie chodzi, dyrektor Morawski już nic więcej o sobie nie musiał mówić.

Zięba: Pierwsze i ostatnie spotkanie z zespołem artystycznym dyrektor zwołał dwa miesiące po objęciu stanowiska.

Rudzki: To było straszne spotkanie. Mieliśmy poczuć siłę władzy. Ludzie mieli nerwy na wierzchu.

Zięba: Wstałam rozdygotana i ze łzami w oczach zapytałam: „Dlaczego pan tu jest?”.

Kwiatniewska: A ja: „Czy pan chce mnie zwolnić?”.

Ilczuk: Domagałam się odpowiedzi. On na to: „Niech pani najpierw pomyśli, a potem zadaje pytania. To nie czas na takie rozmowy. Każdy się indywidualnie dowie, co z nim”.

Kujawski: Ja na to: „Tak czy nie?”. On milczy.

Rudzki: Próbował jeszcze mówić, że ściąganie do teatru reżyserów z górnej półki. Ja na to, że tacy zrezygnowali właśnie z pracy z nami, bo on tu przyszedł.

Ilczuk: Do mnie zaczął mówić w trzeciej osobie: „Niech ta koleżanka się nie odzywa”. A na koniec powiedział do nas: „Jesteście państwo żenujący”. Po tym wstała jedna z koleżanek i powiedziała: „Dosyć! Nie będziemy tego słuchać”.

I wyszliśmy.
Rudzki: Przypomniałem sobie symboliczne wydarzenie, które pokazuje, co nas dzieli. Kiedy graliśmy warszawską premierę „Dziadów”, Morawski wchodził wtedy jako trzecie zastępstwo na deski jednego z teatrów komercyjnych.

Ilczuk: Moje zwolnienie? Zaczęło się od donosu portiera, że w przerwie spektaklu paliłam za kulisami papierosa. Pali się tam u nas od 20 lat. Było ze mną z 15 osób, ale tylko dla mnie papieros oznaczał utratę pracy.

Kujawski: Anka i jej partner - też nasz aktor - Andrzej Kłak zadzwonili do mnie jako lidera naszego związku zawodowego Inicjatywa Pracownicza, że dyrektor wraz z kierownikiem administracyjnym biegają za nimi za kulisami sceny, by wręczyć wypowiedzenia. Popędziłem tam natychmiast.

Ilczuk: Miałam na rękę córkę z mokrą pieluchą. Powiedziałam, że nie przyjmę zwolnienia w taki sposób. Chciałam wyjść, ale kierownik administracyjny zatarasował mi drogę.

Mój partner się wściekł; wyszczał: „Spróbujcie tylko dotknąć Ani albo Zosi”, a na koniec nie wytrzymał i kazał im wypierdalać.

Rudzki: Ja dostałem dyscyplinarkę z uzasadnieniem głoszącym, że jestem sabotażystą, działam na szkodę teatru, obrażam dyрекcję itd. Dowodem jest mój żartobliwy mail. Napisałem do kolegów, których dyrektor w korespondencji służbowej określił mianem „pracownicy podlegli”, że życzę wszystkim podległym, by wybili się na niepodległość. Sprawa jest w sądzie pracy.

Kujawski: Biegnać, powtarzałem: „Boże, żeby tylko Kłak mu nie przypierdolił”. Jego kobieta z jego córką na rękę i tych dwóch...

Groźnie było, ale na szczęście nie przypierdolił.

SCENA 2.: W roli tego, który dławi
Cezary Morawski boleśnie odczuwa opór części zespołu. Posada dyrektora Teatru Polskiego to wielki prestiż. Mogła być ukoronowaniem kariery. Dyrektor chciałby być akceptowany, ale odzywa się w nim ambicja i duma, a chęć kompromisu wygasa.

Morawski: Konkurs, wbrew temu, co się mówi, nie był ustawiony. Wygrałem, bo moja aplikacja była najlepsza.

Od lat marzyłem, by kiedyś zostać dyrektorem teatru. Nawet na studia menedżerskie się zapisałem i jestem dyplomowanym menedżerem kultury. W teatrze przeszedłem przez wszystkie stanowiska. W ramach praktyk robotniczych byłem nawet mechanikiem sceny w Narodowym.

Wiedziałem, że jest grupa osób, która mnie we Wrocławiu nie chce, ale aż tak zacieklego oporu się nie spodziewałem. Mam tu regularny sabotaż. Aktorzy biorą zwolnienia, odmawiają grania, rezygnują z ról. Za jednego z kolegów musiałem wejść osobiście, bo rzucił główną rolę kilka dni przed premierą. W ciągu jednego miesiąca musiałem odwołać 20 spektakli.

Konfliktowi na linii nowy dyrektor - nieakceptujący go pracownicy, który nie jest niczym wyjątkowym, ani w teatrze, ani w jakiegokolwiek firmie, tutaj bardzo szybko nadano charakter polityczny. Mało tego - ideologiczny!

Zostałem obsadzony w roli nowej prawicowej władzy, która dławi prądy liberalne. Co mam robić? Co dzień ogłaszać, że nie jestem z PiS albo że polityka rządu pani Szydło mi się nie podoba? No, absurd jakiś!

Zresztą nikogo nie interesuje, co mam do powiedzenia. W dniu mojego przyjazdu moi przeciwnicy czekali na mnie już na dworcu. Kupili mi bilet powrotny. Byli z nimi dziennikarze, fotoreporterzy, kamery TV.

Prześledziłem ich wpisy na Facebooku. Organizowali się całą noc. Pierwsza informacja, że będę w rannym pociągu, padła tuż po północy. Wiedzieli, który pociąg, peron, wagon. Zнали nawet numer mojego miejsca.

W gabinecie zainstalowali mi podsłuch, myślałem, że tego nie wiem. A ja przez kilka dni mówiłem do podsłuchu to, co chciałem, żeby usłyszeli.

Długo to i tak nie trwało, bo zmieniłem gabinet. W tym po Mieszkowskim nie dało się pracować. Brud nie do wytrzymania, koślawe biurko z wyłamanymi szufladami, ohydna dziurawa i poplamiona kanapa, tak samo brudne fotele. Oddałem do tapicera, żeby goście nie brzydzili się usiąść.

Brud i prawie półtoramilionowy dług - oto spuścizna po moim poprzedniku.

SCENA 3.: Uczucie wysokiej rangi
Publiczność Teatru Polskiego wszelkimi środkami manifestuje przywiązanie, a może nawet uwielbienie dla byłego dyrektora i opór wobec nowego. Dla nich ten spór to odebranie im dostępu do kultury, a więc w jakimś sensie ograniczenie praw obywatelskich, odebranie części wolności.

Chlasta-Dzięciolowska: Krzysztof Mieszkowski to osobowość trudna, krnąbrna i bezkompromisowa, przez co dla władzy niewygodna. Bez względu na wszystko nie zmienia

się jednak przywódcy, który jest w okresie artystycznego szczytowania.

Może dlatego do ostatniego dnia mieliśmy nadzieję, że teatru nie stracimy. Sądziłyśmy, że nawet, jeśli nie uda się ponownie przeformować Mieszkowskiego, to jego stanowisko obejmie ktoś gwarantujący kontynuację. Jakże byliśmy naiwni.

Zaczęliśmy się organizować po szokującej wiadomości, że nowy dyrektor chce zdjąć z afisza siedem spektakli, a Krystian Lupa odwołuje prace nad premierą „Procesu” Kafki, bo nie wyobraża sobie Morawskiego jako swojego dyrektora.

Nigdy nie byłam na żadnej demonstracji, ale kiedy aktorzy przed zamkniętym teatrem zakleili sobie usta i dali nam kartki z hasłami, czułam trudne do opisanego uniesienie. Moim ciałem wstrząsnął dreszcz, lzy cisnęły się do oczu. Powiedzieli wtedy: „Zabrano nam głos, ale wy jeszcze mówić możecie”. Nawet teraz, kiedy o tym mówię, mam ciarki na całym ciele.

Idąc pod teatr, byliśmy grupą indywidualistów. Dzieliło nas wszystko – środowiska, z których pochodzimy, wykształcenie, wiek, nawet poglądy, łączyła wyłącznie miłość do Polskiego, takiego, jakim go stworzył Mieszkowski. Teatru w równym stopniu dla publiczności, co przeciw niej. Krytycznego, niewygodnego, zmuszającego do dialogu i autorefleksji. To nie jest miłe i przyjemne, a bywa wręcz bolesne, jednak gwarantowało nam to poczucie przynależności do najbardziej elitarnych nurtów życia intelektualnego w kraju.

Pod zamkniętymi drzwiami teatru stała już wspólnota ludzi, którym odebrano coś bardzo ważnego – przestrzeń intelektualnej wolności i poszukiwań tożsamości. Zrozumieliśmy, że jesteśmy wychowankami tego teatru. To on ukształtował naszą wrażliwość, wyemancypował jako odbiorców kultury, uczynił krytycznymi i bardzo wymagającymi.

Kandydatura Morawskiego od początku jawiła się nam jako najbardziej niebezpieczna i się nie pomyliliśmy. Nie jest w stanie zaspokoić obudzonych w nas aspiracji, ale przede wszystkim gwarantuje gwałtowny zwrot w stronę teatru z widownią elegancko ubraną i zadowoloną. Z całą pewnością zaś grzeczną i posłuszną.

SCENA 4.: Wyrażnie oznakowani koledzy
Teatr gra dalej. Ludzie, którzy nie odeszli albo nie zostali zwolnieni, nie mogą się bez końca unikać. Muszą stawić czoło pracy... i sobie nawzajem. Łatwe to nie jest.

Ilczuk: Koleżanka rzuciła mi w twarz, że jestem sabotażystką, że nie pozwalam innym normalnie pracować z nowym dyrektorem.

Później na korytarzu mówiłam jej: „Rozumiem cię, że jesteś zła, bo nie grałaś, ale przecież pamiętasz, jak bywało? Ja też miałam za Mieszkowskiego puste sezony. Możesz być zła, ale na co ci ten Morawski?”.

Trzymałyśmy się za ręce, patrzyłyśmy w oczy, a ona powtarzała: „No tak, Aniu, tak, tak”.

Bolly: Nasi koledzy z grupy ulubieńców byłego dyrektora uznali się za najlepszy zespół teatralny na świecie. Ich osiągnięcia nie dają im do tego prawa, a my ich pyszałkowatością i przekonaniem o własnej wyjątkowości jesteśmy już zmęczeni.

Petrykat: W roku 1980 zakładałem w naszym teatrze „Solidarność”. Był ze mną wtedy Leszek Nowak, dzisiejszy przewodniczący „S” w Polskim. Obaj byliśmy internowani przez Jaruzelskiego. Dziś Leszek z szefem dolnośląskiej „Solidarności” ogłasza, że Inicjatywa Pracownicza, aktorski związek, w którym działam, to organizacja bolszewicka! Dlaczego? Bo mamy celność nie chcieć Morawskiego?

Rudzki: Kiedy dyrektor Morawski wyrzucił mnie dyscyplinarnie, pravicowa prasa napisała, że koledzy uważają, iż to bardzo dobrze, bo jestem zdrajcą pracującym za niemieckie pieniądze, a podczas służbowych wyjazdów rozgłaszam, że w Polsce zapanował faszyzm.

Ilczuk: Dominika Figurska, broniąc nowego dyrektora, ogłosiła, że nareszcie do teatru wróciła normalność, bo za poprzedniego ak-

torki przychodziły na próby pijane i masturbowały się na scenie. Cytowały to później wszystkie wrocławskie media.

Aktorka anonimowo: Dwoje aktorów, para, przez długie lata grali na zakładkę. Mają kilkunastu dzieci, więc raz ojciec brał rolę, a matka pieluchy, kiedy indziej na odwrót. Każdy z nas to rozumiał. Teraz oboje chodzą do gazet i opowiadają, że nie grali, bo byli przez byłego dyrektora dyskryminowani z powodów światopoglądowych.

Struzik: Tego, że zagrałam w „Smoleńsku”, nikt w teatrze nie miał mi za złe aż do chwili, gdy stanęłam w obronie nowego dyrektora. Teraz rolę Ewy Blasik koledzy wyciągają mi na każdym kroku, ale o tym, że równocześnie ze „Smoleńskiem” robiłam „Pokot” u pani Agnieszki Holland, nikt się nie zajaknie, bo to nie pasuje do jednowymiarowego portretu „pisówki” z Teatru Polskiego.

Miałam opinię świetnego pedagoga, studenci pisali do mnie: „Kochana pani profesor, chciałbym robić u pani asystenturę”, a teraz dowiaduję się, że studenci nie chcą już ze mną pracować.

Zaprosiłam moich studentów do nas na casting. Normalnie byłoby to dla nich niewyobrażalne wyróżnienie, szansa, która szybko się nie powtarza. Napisali mi:



Są tchórzliwi jak faszyci. Niechby wzięli pod but zamiast papieża i polskiej flagi Koran albo gwiazdę Dawida.

O nie! Wiedzą, że nie przeżyliby tygodnia

„Kochana pani profesor, z uwagi na to, jakie konsekwencje może nieść ze sobą... Proszę mi wybaczyć...”.

Albo: „Nie chciałbym stać się częścią trwającego w Teatrze Polskim konfliktu, a wydaje się to nieuniknione, gdybym starał się dziś o rolę. Przykro mi, że takie czasy nastały”.

Nie przyszedł nikt.

Bolly: Przetawili mi dekorację tak, żeby drzwi, przez które wchodziłem na scenę, były zastawione szafką z telewizorem. Tak żeby spadł i się rozbił. To mogły zrobić tylko koleżanki będące na scenie.

Struzik: Kląniamy się publiczności, a koledzy spychają mnie na bok, bo nie przyłączyłam się do ich protestu. Oni mają zaklejone usta, a ja nie.

Z tego samego powodu koleżanka, z którą od lat dzielilam garderobę, przestała się do mnie odzywać. A o mnie zaczęła mówić bez imienia. Powiedzcie „tej”, niech „ta” i tak dalej.

Aktorka anonimowo: Kilka dni temu jeden z techników sceny biegł za aktorką po korytarzu z nożem, krzycząc: „Zabiję cię, szmato!”.

Struzik: Krawcowa skarży mi się, że aktorka podczas przymiarki kostiumu krzyczy na nią: „Co robisz, ty głupia kurwo!”, bo ukłuła ją szpilką.

Ilczuk: Teatr to praca na emocjach. Mogę opowiedzieć tysiąc historii z różnych scen, czasów i dyrektorów o aktorkach, które się pokłóciły, albo o tym, kto kogo chciał za kulisami zadłgać.

Tym razem jednak mam wrażenie, że dyrektorowi i w ogóle władzy poszufladkowanie nas jest na rękę. Po jednej stronie nasi, po drugiej obcy. Wiadomo, na kogo można liczyć, komu nie można ufać. Takie zarządzanie przez konflikt. Jak w całym kraju.

SCENA 5.: Brutalne bodźce

Nowego dyrektora od pierwszego dnia wsparli ci, którzy byli skonfliktowani z poprzednim. „Tak” dla nowej władzy brało się z „nie” dla byłej. Ale od zmiany władzy w teatrze minęło już pół roku, a plany na przyszłość nadal układane są tak, aby były zaprzeczeniem przeszłości. Dorobek poprzedniej władzy nowa uznawała za barbarzyństwo. Ale wtedy nie była jeszcze nową władzą.

Melski: Stracili teatr na własne życzenie. Do ostatniego dnia wbrew wszystkiemu zachowywali się tak, jakby miał się zdarzyć cud, który pozwoli zachować władzę. Jakby byli przekonani, że nie ma w Polsce nikogo, z kim mogliby przegrać, kto mógłby zastąpić geniusz Mieszkowskiego.

Ale zbyt wielu ludzi geniusz do siebie zraził. Samorządowców, bądź co bądź swoich zwierzchników, nazywał w prasie troglodytami. Nigdy się z nikim nie liczył, prowokował władzę. Mówiłem: „Po co to robisz? Przecież oni dają nam pieniądze. Na co nam taka wojna?”.

Próbowałem tłumaczyć, że teatr to jednak coś w rodzaju zakładu pracy. Żebyśmy zaczęli grać nie tylko awangardę, ale też lżejsze rzeczy, bardziej komercyjne, które raz, że mogłyby zarobić na tę całą awangardę, a dwa, pozwoliłyby zagospodarować tych aktorów, którzy nie do końca odnajdywali się w promowanej przez dyrektora estetyce. Mamy trzy sceny. Wystarczyłoby postawić czasem coś innego niż główny awangardowy nurt – kilka fars, monodramów, coś dla dzieci, i wszyscy byłiby szczęśliwi. Ale on nigdy nie słuchał.

Mówił, że nie rozumiem współczesnego teatru, że nie pa-

suję i powinienem odejść. I tak się zakłète koło kręciło. Nie grałem, więc reżyserzy nie mogli mnie w niczym zobaczyć. A jeśli nie mogli zobaczyć, to nie obsadzali.

Wytworzyła się taka atmosfera, że „tych” nie bierzemy, bo oni nie chcą, a nie chcą, bo myślą inaczej niż my. A to nieprawda, bo ja cokolwiek bym sobie myślał, to bardzo bym chciał zagrać u reżyserów, których zapraszał były dyrektor, u Klaty, Lupy czy Strzepki. Ale taka propozycja nigdy nie padła. Przez dziesięć lat.

Nowak: Przyjeżdżał do nas za ogromne honorarium scenograf, bez jednego choćby rysunku, bez planu pracy, pokazywał ręką jakieś szalone koło i mówił: „Róbcie”. I robiliśmy za niego, po godzinach, a płacone nie było, bo teatr wiecznie w długach.

Kiedy skarżyliśmy się dyrektorowi, proponowaliśmy zmiany, odpowiadał: „Tu jest teatr, nie fabryka”. Bo co my wiemy, robole, prawda? Ile razy słyszałem od aktora: „Ślusarz się do sztuki miesza”. A mnie o poziomie czytania niektórych młodych aktorów nie chce się nawet mówić, żeby im przykrości nie robić. Bo ja kilka książek przeczytałem, w teatrze pracuję od 35 lat, 500 premier zrobiłem.

Kiedy graliśmy „Golgotę Picnic”, „Śmierć i dziewczynę”, pod teatrem co dnia stały demonstracje. Nasi koledzy, przyjaciele z „Solidarności”, stali.

I ja rozumiał, że takie spektakle obrażają ich wartości, mnie one też się nie podobały. Ale pracowaliśmy bez względu na to, co myśleliśmy. Nie chcieliśmy, żeby mówili o nas „ciemnogród”, „glupole”, „mohery”. Pan Rucki, który przez ścianę ze mną pracował, powiesił sobie nad biurkiem hasło: „Bóg nam przeszkadza”. I jak mnie to wszystko miało nie boleć?

Rudzki: Nie: „Bóg nam przeszkadza” Tylko: „Bóg nam dokucza”. Nie nad biurkiem, tylko na drzwiach. Nie moje hasło, tylko cytaty z „Dziadów”, który w spektaklu śpiewa Monika Bolly. I nie kartka, tylko wlepka wydrukowana w ramach oficjalnej przedpremierowej akcji promocyjnej teatru. I jak my mamy się wzajemnie zrozumieć, skoro widzimy dwie różne prawdy?

Bolly: Bo nie o zmianę dyrektora chodzi. W naszym teatrze doszło do zderzenia cywilizacji.

Gdyby nie pan Morawski, to następnym spektaklem na naszych deskach byłaby „Kłątwa”. Aż tu nagle ludziom, którzy uważali swoją drogę za jedyną słuszną i na którą próbowali zepchnąć wszystkich, powiedziano: stop! Teraz będzie zwrot w prawo! I rozpoczęła się historia! Jakim prawem? Ano prawem demokratycznego wyboru! I w samą porę!

Tu miały miejsce reżyserska zapaść i wylęg obscenii. To, co oni traktowali jako awangardę i rozwój artystyczny, było wyłącznie kulturowym regresem.

W sferze estetyki komunikację z widzami przy użyciu intelektualnych znaków zastąpiło prymitywnym waleniem po łbie obrzydliwymi i brutalnymi bodźcami. Być może młodzież wychowana na teledyskach wynosi po takich spektaklach jak „Śmierć i dziewczyna” jakiś rodzaj satysfakcji, ale to stan podobny do całonocnego oszołomienia dyskotekową lupaniną.

W sferze treści zaś ten rodzaj teatru, bicie w święte symbole, w polską, narodową tradycję to nic więcej jak łamanie kręgosłupów i pranie mózgu zaprogramowane na stworzenie jednolitej szarej masy.

Nie da się pozbyć własnego dziecka, a w zamian wziąć małego Chińczyka i kochać tą samą miłością. No, nie da się!

A oni uparcie próbowali wbijać do głów: nigdy nie było tu nic wartościowego i nadal nic takiego nie ma.

Ale oni nie wiedzieli, czego chcą, bo wiedzieli tylko, czego nie chcą. Wkroczyli w przestrzeń kulturowej pustki. Gdy się nie ma z czego czerpać, nie da się niczego napelnić.

Są tchórzliwi jak faszyci, atakują i niszczą tych, o których wiadomo, że można. Uprawiają awangardę koncesjonowaną. Niechby wzięli pod but zamiast papieża i polskiej flagi Koran albo gwiazdę Dawida. O nie! Wiedzą, że wówczas nie przeżyliby tygodnia.

■■■

Kujawski: Gram w tym teatrze 33. sezon. Przeżyłem dyrektorów lepszych, gorszych i złych. Ale każdy z nich szanował dorobek poprzedników i dokonania zespołu. Morawski nie zna słowa „szacunek”, zwłaszcza dla tego, co robiliśmy tu przez ostatnie dziesięć lat, a więc dorobku Krzysztofa Mieszkowskiego.

Morawski jest wandalą, zachowuje się jak Attyla po zdobyciu Rzymu i budować potrafi jedynie, opierając się na frustracji.

Mieszkowski zamienił Teatr Polski we Wrocławiu w rozpoznawalną, szanowaną na świecie, ba, przebojową markę. Potrafił ściągnąć tu najlepszych reżyserów i zapewnić im warunki, by mogli tworzyć dzieła wybitne.

Nieprawda, że były to wyłącznie spektakle obrazoburcze, lewackie, cywilizacji śmierci. Nasz szylt to wciąż bardziej „Dziady” niż „Golgota Picnic”. Trzeba było takiego wizjonera jak Krzysztof, by porwać się na 14-godzinny maraton Mickiewicza.

Dlaczego właśnie u nas udało się wystawić całe „Dziady”? Bo reżyser dostał tu na start komplet – aktorów, scenografię, pełne zaplecze techniczne i wierną publiczność. Miasto oddychające swoim teatrem. W czasie premiery restauratorzy sami z siebie wymyślili akcję „Nakarm Dziady!”. I za okazaniem biletu wydawali dania za pół ceny.

A jednak nie wszyscy czuli się częścią tego sukcesu. Wprost przeciwnie, gdy jedni szczytowali, inni przeżywali gorycz porażki i odrzucenia.

To był wielki błąd Krzysztofa Mieszkowskiego, ale i nasz – ich kolegów. Zajęci każdy sobą, niesieni na skrzydłach kariery, nie dostrzeżliśmy, że ludzie tak samo utalentowani, tak samo doświadczeni nie są w stanie się wzbić do lotu, dystans rósł, a oni zostawali z tyłu, niezauważeni, upokorzeni.

Ich skumulowana przez lata frustracja wybuchła i zlała się w jedną siłę z frustracją odrzuconego i niechcianego przez nas Morawskiego. Tak jego rewolucja znalazła w teatrze oparcie, a jej motor ruszył.

To, co się u nas dzieje, jest tym samym, z czym mamy do czynienia w Polsce. Można zamiast słowa „teatr” wstawić „Polska”, zamiast „zespół” – „społeczeństwo”, zamiast „dyrektor” – „prezes” i wszystko będzie się zgadzało. Teatr naprawdę stał się zwierciadłem świata. ●